



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Krystyn Włodek

W Węgleszynie

Wspomnienia nasze rozpoczynamy od lata 1939 roku, kiedy to razem z mamą spędziliśmy ostatnie wspaniałe wakacje. Lipiec owego roku był wyjątkowo pogodny i upalny. Wraz z mamą wyjechaliśmy do dziadków (rodziców mamy), którzy mieszkali w Trembowli niedaleko Lwowa. Ku naszemu rozczarowaniu wakacje w Trembowli zostały częściowo skrócone. Przyczyniła się do tego atmosfera polityczna, o której dosyć często rozmawiał z naszą mamą dziadek. Nastąpiło to najgorsze: pożegnanie, łzy i obawy o to, czy się jeszcze kiedyś zobaczymy. Jak się później okazało, były to obawy słuszne, bo było to ostatnie spotkanie mamy ze swoimi rodzicami, a nasze z dziadkiem.

Dużym urozmaiceniem dla nas, małych dzieci (9 i 7 lat) była jazda z Trembowli do Lwowa niezwykłym pociągiem, ale „lukstorpedą”, jak ją wówczas nazywano. Na piękny, oszklony dworzec wyjechał po nas swoim białym autem marki Skoda wujek Miczyński. W tym czasie posiadanie własnego samochodu było domeną ludzi dobrze sytuowanych.

Mama, która znała doskonale Lwów (kształciła się tam), zadbała o to, abyśmy poznali wszystkie zakątki i zakątki tego pięknego miasta. Z pobytu we Lwowie najbardziej nam utkwił w pamięci cmentarz „Orląt Lwowskich” i obraz „Panorama Raclawicka”. Jednym z projektantów konstrukcji panoramy był nasz wujek Stefan Miczyński. Minio przyjemnie spędzanych dni, wyczuwało się jednak atmosferę podniecenia i nerwowości wśród członków rodziny, jak również ich znajomych.

W rozmowach padały ciągle nazwy: Gdańsk, Niemcy, wojna. Było to niewątpliwą przyczyną naszego wcześniejszego wyjazdu. Po wzruszających pożegnaniach opuściliśmy Lwów. W pierwszej połowie sierpnia byliśmy już w domu, gdzie oczekiwał nas zniecierpliwiony ojciec. Obowiązki kierownika szkoły (remonty) nie pozwoliły mu na wyjazd z nami na wakacje.

Mieszkaliśmy w dosyć dużej kieleckiej wsi Węgleszyn pow. Jędrzejów. Węgleszyn położony jest pomiędzy małym miastem Małogoszcz od północy i Nagłowicami oraz Jędrzejowem od południa. Przy dobrej pogodzie roztacza się z Węgleszyna wspaniały widok pasma gór i lasów Świętokrzyskich. W lasach tych w czasie okupacji gromadziły się oddziały partyzanckie. My zajmowaliśmy trzypokojowe mieszkanie z kuchnią w budynku szkolnym. Oprócz nas mieszkwały tam jeszcze dwie rodziny nauczycielskie. Była to dość duża siedmioklasowa szkoła podstawowa, której ojciec był kierownikiem, a mama nauczycielką.

Po powrocie mieliśmy co opowiadać swoim rówieśnikom. My, chłopcy z wioski, wróciliśmy przecież z tak „wielkiego świata”. Najwięcej z naszego powrotu ucieszył się nasz ukochany pies – Reks, który, jak nam opowiadał ojciec, bardzo za nami tęsknił. Reks był to duży, myśliwski pies rasy wyżeł, który brał udział w polowaniach ojca z innymi myśliwymi. Z nami mógł się zaś bawić całymi godzinami wsze-

dzie nam towarzysząc. Mimo że atmosfera polityczna była napięta i coś groźnego w tych ostatnich dniach sierpnia wisiało w powietrzu, to jednak wybuch wojny 1 września był wielkim zaskoczeniem i tragedią dla wszystkich.

Wybuchła panika, ludzie potracili głowy i byli zupełnie zdezorientowani. Nie wiedzieli, jak się w tej sytuacji zachować i co wszystkim grozi. Bardziej opanowani, na czele z naszym ojcem, radzili pozostać w domach i spokojnie czekać, aż się sytuacja unormuje. Niektórzy jednak pod wpływem strachu i szerzących się pogłosek o mordowaniu i wywożeniu ludzi zaczęli pakować dobytek i całe rodziny na wozy konne i wyjeżdżać, aby się ukryć w bezpiecznych miejscach. Najwięcej straszono tym, że Niemcy będą wywozili i rozstrzelili szczególnie inteligencję. Mimo to ojciec postanowił pozostać i pilnować szkoły, natomiast mama razem z nami, w ślad za innymi, miała się schronić w trudno dostępnym lesie, położonym na uboczu od główniejszych dróg, zwanym Dzierążnią.

Powstała sytuacja bardzo trudna, a nawet wręcz tragiczna, ponieważ nie mieliśmy środka lokomocji i nie było czym wydostać się ze wsi. Wyratował nas z tej sytuacji miejscowy proboszcz – ksiądz Kapuściński, który na prośbę ojca wypożyczył nam furmankę z parą koni.

Jechaliśmy nocą po wyboistych bocznych drogach, a w górze słychać było warkot samolotów i nie wiadomo było dokładnie, czy to niemieckie czy polskie. Z głównej szosy na trasie Jędrzejów – Kielce, dochodziło dudnienie ciężkich samolotów i motocykli. Wszystko to dodawało sytuacji jeszcze większej grozy. Ludzie bali się wszystkiego, za każdym wzniesieniem i za każdym drzewem wypatrywano niemieckich szpiegów. Po pewnym czasie uciążliwej jazdy dotarliśmy na miejsce. Widok, jaki zobaczyliśmy, stwarzał groźny i jednocześnie groteskowy obraz. W całym lesie pełno było przywiązanych do drzew krów, cieląt, koni, a nawet świń. Wszędzie też biegały bezpańskie psy. Ludzie rozlokowywali się na wozach i ukrywali się pod krzakami lub drzewami. Naiwni nie rozumieli, że wszyscy oni razem stwarzali cel dla lotników niemieckich. Pan Bóg był i tak litościwy, ponieważ nocą na początku września 1939 roku były bardzo ciepłe, a w dzień przygrzewało słońce nie gorzej niż w sierpniu. Przez kilka dni koczowania wśród uciekinierów panowała pełna solidarność. Dzieciom rozdawano świeżo udojone mleko i dzielono się pożywieniem. Przeżyliśmy jednak moment grozy. Późnym popołudniem przy pięknej pogodzie nadleciał nad nasze obozowisko niemiecki samolot myśliwski. Obniżył lot i nad samymi czubkami drzew wykonał kilka okrążeń. Wszyscy śmiertelnie przerażeni padliśmy na ziemię i mimo że samolot po chwili odleciał nie oddając strzału, baliśmy się podnieść. Lotnik prawdopodobnie szukał zgrupowań wojskowych.

Pewnego dnia przyjechał posłaniec od ojca, wraz z chłopakami z wioski, aby oznajmić wszystkim, że należy wracać do domu, gdyż dalszy pobyt w lesie nie ma sensu. Powiedzieli również, że Niemcy wprawdzie pozajmowali już w pobliżu ważniejsze miejscowości i obiekty, ale zachowują się spokojnie i nic groźnego się nie dzieje. Chodziło również o to, aby nie wszyscy wracali razem, tylko małymi grupami, pod osłoną nocy, tak aby nie rzuciło się to w oczy Niemcom. Po powrocie do domu dowiedzieliśmy się, że znaleźli się tacy, którzy wykorzystując nieobecność właścicieli popełnili szereg kradzieży. Życie w pewnym sensie zaczęło wracać do normalności. Pod koniec września rozpoczęto naukę w szkole, która odbywała się pod ciągłą kontrolą różnych inspektorów wyznaczonych już przez władze okupacyjne.

Święta Bożego Narodzenia w 1939 roku różniły się już od świąt obchodzonych przed wojną. W wielu rodzinach panował smutek i oczekiwanie na bliskich, którzy zostali zmobilizowani na wojnę. Były i takie rodziny, które otrzymały już zawiadomienie o śmierci tych, którzy zginęli w pierwszej fazie wojny. Nastrój smutku i przygnębienia potęgowała jeszcze niepewność jutra. Niemcy zaczęli nakładać coraz większe kontyngenty, co znacznie pogorszyło warunki życiowe, zwłaszcza inteligencji, która musiała żywność kupować. Znacznie podrożały artykuły pierwszej potrzeby takie jak chleb, cukier, mąka, mięso itp., a wynagrodzenie nauczycieli było coraz niższe. Z czasem wprowadzono kartki żywnościowe o głodowych racjach. Wszyscy żyli nadzieją, że Anglia i Francja wypowiedzą wojnę Niemcom i na wiosnę, a najpóźniej latem, wojna zostanie zakończona. Nadzieję taką mieli znajomi i sąsiedzi, którzy przychodzili do naszego domu i ciągle dyskutowali z rodzicami na te tematy. Jak się później miało okazać, były to bardzo złudne oczekiwania.

Niemcy zajmowali kolejne tereny w Europie. W Polsce szerzył się coraz większy terror. Wydawano mnóstwo najprzeróżniejszych nakazów i zarządzeń. Wszyscy posiadacze radioodbiorników musieli je przekazać miejscowym władzom. W przypadku znalezienia radia po wyznaczonym terminie groził obóz koncentracyjny, a nawet kara śmierci. Wprowadzono obowiązek całkowitego zaciemniania okien.

Największe restrykcje zastosowano w stosunku do ludności żydowskiej. Musieli oni wychodząc z domu nosić na rękawie opaskę z gwiazdą Dawida. Obowiązywała ich godzina policyjna od 18.00 do 6.00 rano. Za najdrobniejsze przewinienia groziła im kara śmierci. Zarządzeń tych najbardziej przestrzegano w miastach, gdzie było więcej policji i żandarmerii.

Pomimo tych wszystkich rygorów nasz ojciec, który z wykształcenia był matematykiem i fizykiem, wspólnie ze swoim kolegą, również nauczycielem Aleksandrem Kurowskim, skonstruowali z różnych

starych części radio, do którego można było podłączyć kilka słuchawek. Dawało to możliwość słuchania go równocześnie przez parę osób, a na zewnątrz było ono niesłyszalne.

Wieczorami przychodziło do szkoły kilka zaufanych osób i wspólnie w małym pomieszczeniu na strychu słuchali wiadomości nadawanych w języku polskim z Londynu. Odbywało się to z zachowaniem pełnej tajemnicy i rygorów bezpieczeństwa (obstawa). Tą sytuacją najbardziej przerażona była nasza mama, bo obawiała się wpadki, a co za tym idzie tragedii dla całej rodziny.

W sumie było to jedyne rzetelne źródło informujące o wydarzeniach w Polsce i na świecie.

Docierały do nas wiadomości o łapanekach w miastach, aresztowaniach i rozstrzeliwaniach za najdrobniejsze przewinienia. Sytuacja jednak zmuszała ludzi do radzenia sobie na różne sposoby.

Z pobliskich miast przyjeżdżali ludzie, aby za różne cenne przedmioty zdobywać żywność.

My w ramach pomocy sąsiedzkiej otrzymaliśmy od znajomych kozę, która po pewnym czasie miała dwie małe kózki. Mama dokupiła parę królików i kilka kur. W ten sposób powstało małe gospodarstwo. Dla nas obu był to dodatkowy obowiązek, bo musieliśmy starać się o paszę dla tego inwentarza. Najwięcej jednak obowiązków spadło na mamę, która oprócz pracy w szkole musiała zajmować się domem i gospodarstwem. Nie była przecież do tego przyzwyczajona, bo przed wojną miała pomoc domową, a sama zajmowała się tylko pracą zawodową i wychowaniem dzieci. Mimo to, często wieczorami znajdowała trochę czasu, aby nam na głos czytać różne powieści przygodowe i historyczne, których lektura była wówczas zakazana. Nasilał się terror, który w największym stopniu dotknął ludność żydowską. Na przełomie 1941 i 1942 roku zaczęto tworzyć getta w każdym większym mieście. Na Żydów urządzano łapanki i wywożono ich do tych gett i obozów.

Wszystko to zaczęło budzić w społeczeństwie coraz większy sprzeciw i opór. Powstawała partyzantka, grupy dywersyjne. W naszej wsi było kilka rodzin żydowskich. Nasi rodzice utrzymywali bliższy kontakt szczególnie z rodzeństwem Esterą i Abe Oblęgorskimi, którzy zajmowali się handlem. Zdając sobie sprawę z tego, że wszystkich Żydów czekają getta i obozy, pan Oblęgorski często przychodził do naszego domu i prowadził z rodzicami poufne rozmowy. Po pewnym czasie wiedzieliśmy już, że rozmowy dotyczyły przechowania małego chłopczyka w wieku ponad dwóch lat. Jednym z argumentów, które podawał, było to, że dziecko jest małe i ładne i nie posiada semickich rysów. Okolicznością sprzyjającą było również to, że my byliśmy wszyscy brunetami i mógł on uchodzić za członka naszej rodziny. Największą obawę rodziców budził fakt, że chłopiec był obrzezany.

Dobrze pamiętamy późny wiosenny wieczór 1942 roku, kiedy to do naszego mieszkania weszło młode małżeństwo elegancko ubrane, trzymając na ręku małego chłopczyka. Byli to ludzie średniego wzrostu. Na ich twarzach malował się wielki smutek i zdenerwowanie. Chłopczyk miał na imię Jurek i już od swoich rodziców wiedział, że przyjechał do cioci, wujka i swoich kuzynów: Janusza i Krystyny. Jureczek był bardzo ładnym i miłym dzieckiem. Miał czarne kręcone loczki i jak na swój wiek bardzo ładnie mówił. Jak się okazało, był on już wcześniej nauczony przez swoich rodziców pacierza, umiał się przeżegnać oraz wiedział, że nazywa się Jurek Staszewski.

Podczas gdy my z Jurkiem zajęci byliśmy jedzeniem kolacji, jego rodzice unikając wzruszającego pożegnania, tłumiąc płacz opuścili nasze mieszkanie. Jurek był przekonany, że rodzice jego wyjeżdżają na krótko i niedługo po niego przyjadą. Dziecko po kolacji zostało położone do łóżka i znużone trudami podróży szybko zasnęło. Mimo że w tym czasie mieliśmy zaledwie 10 i 12 lat, to rodzice niczego przed nami nie ukrywali. Wręcz odwrotnie, z uwagi na panującą niepewną sytuację przeprowadzili z nami poważną rozmowę. Wszystkim znajomym i każdemu, kto będzie pytał, mieliśmy mówić, że jest on synem kuzynki, która znajduje się w obozie, a ojca zabrali bolszewicy. Nazywa się Jurek Staszewski. Pod żadnym pozorem nikomu nie wolno nam było zdradzić, że Jurek jest Żydem. Obowiązkiem naszym było cały dzień go pilnować, aby przy nikim obcym nie robił siusiu. Przez pierwsze kilka dni Jureczek bardzo tęsknił za swoimi rodzicami i stale dopytywał się, kiedy po niego przyjadą. W tym właśnie okresie wszyscy staraliśmy się na różne sposoby go zabawić, aby nie myślał o rodzicach. Ojciec jako kierownik tak układał plan lekcji, że zawsze ktoś z nas był przy Jurku. Czasami zdarzało się jednak, że przez godzinę, zamknięty w pokoju, bawił się grzecznie sam. Nigdy się nie skarżył, był pogodnym i uśmiechniętym dzieckiem. Został zaakceptowany przez społeczeństwo wioski jako członek naszej rodziny. Zbliżały się wakacje, pogoda była piękna. Zwolnieni z obowiązku odrabiania lekcji, mogliśmy chodzić z Jureczkiem do lasu na jagody, grzyby i orzechy. Był niez mordowany w tym naszym włościństwie. Nieraz musieliśmy go nosić na barana. Życie toczyło się bez większych zakłóceń do czasu, aż wieść obiegła przerażająca wiadomość, że wszystkich Żydów mają gdzieś wywozić. Żandarmeria bez przerwy kręciła się po wsi, w której Żydów było znacznie więcej niż przed wojną. Poprzyjeżdżali do swoich rodzin i znajomych w nadziei, że na wsi się lepiej ukryją i w ten sposób przetrwają ten wojenny koszmar. Sołtys dostał jednak rozkaz, aby w wyznaczonym terminie przygotować konie i wozy. Zaczęto całe rodziny „ładować” na furmanki. Pozwolono im zabrać ze sobą tylko niewielki bagaż. Ludzie byli zrozpaczeni, załamani i bardzo płakali, obawiając się o swoją przyszłość, która była przecież wielką niewiadomą. Mieszkańcy wsi również byli wstrząśnięci i przygnębieni. Wszystkim bardzo było żal tych ludzi i mając oczy pełne łez, ubolewali nad ich losem.

Nadeszła zima, spadł śnieg. Najlepszą zabawą było zjeżdżanie z górki położonej w odległości około 100 m od naszego domu. Jureczek oczywiście brał czynny udział we wszystkich zabawach, nie tylko z nami, ale również z innymi dziećmi, lecz zawsze w naszej obecności.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia 1942 roku. Wieczory spędzaliśmy na robieniu różnych ozdób choinkowych, co sprawiało nam dużo przyjemności. Jureczek pomagał nam jak mógł. Rodzice natomiast mieli duże problemy ze świątecznym zaopatrzeniem. Wokoło szerzyła się bieda, a w niektórych domach panował głód. W dzień Niemcy prócz obowiązujących kontyngentów konfiskowali wszystko, co im wpadło w ręce. Nocą natomiast przychodzili partyzanci, którym także dokuczał głód i niedostatek. Święta były bardzo skromne, ale drobne prezenty pod choinką sprawiły nam, dzieciom wiele radości. Na początku 1943 roku ojciec dowiedział się w jakiś sposób, że jego młodszy brat Kazik, który w walkach 1939 roku dostał się do niewoli niemieckiej, jest na wolności i ukrywa się u ich siostry, a naszej cioci, w Przelęku.

Ojciec wraz z dwoma innymi nauczycielami zorganizowali komplety tajnego nauczania dla młodzieży, która ukończyła szkołę podstawową. Dla większego bezpieczeństwa wykłady odbywały się w coraz to innym domu i w ścisłej tajemnicy. Mimo to było to wielkie ryzyko dla nauczycieli i młodzieży. Ponadto miejscowe kierownictwo Armii Krajowej, z porucznikiem Jaskólskim na czele, postanowiło prowadzić wykłady z teorii dla członków ruchu oporu na strychu naszej szkoły. Wszystko to stwarzało tak duże niebezpieczeństwo, że nasza mama po nocach nie spała, bo ciągle jej się wydawało, że Niemcy podjadą pod szkołę i wszystkich aresztują albo rozstrzelają.

Zima zbliżała się ku końcowi, wszyscy liczyli, że z nastaniem wiosny będzie trochę lżej, a może i na froncie coś się odwróci na lepsze. Nic się jednak na lepsze nie zmieniło poza tym, że nastały cieplejsze dni. Coraz częściej docierały do nas straszne wiadomości o aresztowaniach inteligencji, a w większości nauczycieli. Zagrożenie było ciągle i dlatego ojciec coraz częściej nocował poza domem.

Wczesną wiosną 1943 roku, po północy ktoś delikatnie zapukał w okiennice naszego domu. Okazało się, że był to brat ojca – stryjek Kazik. Do mieszkania wszedł smukły, przystojny mężczyzna z czarną czupryną. Po serdecznym powitaniu do białego dnia opowiadał nam swoje wojenne przeżycia. Stryjek był oficerem w stopniu podporucznika artylerii. Rodzina nam się powiększyła i jeszcze bardziej wzmożło się niebezpieczeństwo. Coraz trudniej było z wyżywieniem. Stryjek wpadł na pewien pomysł: zrobił dwie wędkę i prawie codziennie chodził na ryby nad Nidę. Dość często, kiedy mieliśmy dzień wolny, zabierał jednego z nas. Ryby urozmaicały i wzbogacały nasze pożywienie. Pobyt stryja trwał u nas około dwóch tygodni. Pewnego dnia ojciec został powiadomiony przez zaufanego człowieka, że w nocy zjawią się u nas w domu Niemcy, bo chodzi im o pana Kurowskiego. Doradził też, że najlepiej będzie jak wszystkich mężczyzn (ojca, stryja i pana Kurowskiego) nie będzie w ogóle w domu. No i faktycznie, nocą przyjechali żandarmi. Gwałtownie zaczęli dobijać się do drzwi wejściowych. Otworzyła im mama. Zapytali o Aleksandra Kurowskiego (miejscowego nauczyciela w stopniu porucznika), który też mieszkał w naszej szkole. W jego mieszkaniu zrobili rewizję, a ponieważ był nieobecny, zaczęli pytać o naszego ojca. Mama chcąc uniknąć u nas rewizji, wymyśliła na poczekaniu wersję, że dzieci są chore na tyfus i ojciec pojechał gdzieś szukać lekarstw. Niemcy panicznie bali się tej choroby, dlatego też szybko szykowali się do wyjścia. Wszystko prawdopodobnie skończyłoby się dobrze, gdyby nie to, że w drzwiach stanął stryjek, który przecież był zbiegiem z obozu. Niemcy natychmiast wycelowali w niego lufy pistoletów. Kazali mu podnieść ręce do góry, przeprowadzili rewizję osobistą. Znaleźli przy nim tylko wytrych i jakiś dokument. Założyli mu kajdanki i wsadzili do samochodu. Nie pomogły żadne tłumaczenia jego i mamy, że jest bratem ojca i właśnie przyjechał do nas w odwiedziny. Niestety było to, że stryjek wszedł z drugiej strony domu od podwórka i nie zauważył stojącego na ulicy samochodu. Oprócz tego, od wybuchu bomby na froncie miał bardzo przytępiony słuch i dlatego nie usłyszał, stosunkowo głośnego zachowywania się Niemców w mieszkaniu. Jako najmłodszy z ukrywających się mężczyzn, postanowił sam sprawdzić, co się dzieje w domu. Pełni nerwów i strachu o los rodziny, ojciec i Kurowski nie pomyśleli o jego słabym słuchu. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że został wywieziony do Oświęcimia. Nazwa ta była dla wielu ludzi jednoznaczna – zagłada. Wysyłaliśmy stryjowi do obozu parę razy paczki. Po jego aresztowaniu ojciec i Kurowski przez dłuższy czas nie pokazywali się w domu. Niemcy i policja ciągle się o nich dopytywali.

W drugiej połowie maja do szkoły (w czasie odbywających się lekcji) wpadł sąsiad Wincenty Łysek i oznajmił, że do wsi przyjechały samochody ciężarowe pełne Niemców, że robią łapankę. Wybuchła panika wśród nauczycieli i dzieci. Uczniowie bocznym wejściem puciekali do swoich domów. Nasz mama również wysłała do mieszkania. Byliśmy bardzo wystraszeni. Ta atmosfera udzieliła się także Jureczkowi, który z przerażenia zaczął histerycznie płakać. Trzęsąc się ze strachu schował się pod stół. Zawsze tak reagował w podobnych sytuacjach. Wtedy mama go przytuliła, ucałowała i długo uspokajała. Wówczas przestał szlochać i zmęczony zasnął w mamy ramionach. Jak się później okazało, było to ostatnie pożegnanie mamy z Jurkiem. My nadal drżeliśmy ze strachu. Mimo to mama na chwilę zostawiła nas samych z uśpionym dzieckiem, żeby dowiedzieć się od sąsiada Łyska, czy ojcu udało się uciec. Zaraz po jej wyjściu przyszli do nas Niemcy i głośno coś wykrzykiwali. Następnie splądrowali

całe mieszkanie i kiedy już wychodzili, do domu weszła mama. Wtedy tłumaczyła im, że jest miejscową nauczycielką, żoną kierownika szkoły. Niemcy coś nadal głośno wykrzykując zabrali opierającą się im mamę do samochodu i odjechali. Więcej już mamy nie zobaczyliśmy.

Z późniejszej relacji sąsiada Łyska dowiedzieliśmy się, jakie wydarzenia poprzedziły aresztowanie mamy. Zaczęło się od tego, że Niemcy dokonując łapanek zabrali z ulicy między innymi jednego z mieszkańców wsi, który tłumaczył się, że jest członkiem straży pożarnej (strażaków nie zabierano na roboty do Niemiec), o czym mógł poświadczyć komendant straży Siekański – mąż nauczycielki. Dlatego natychmiast udali się do mieszkania państwa Siekańskich. Zauważyli wtedy, że Siekańscy z synem (chłopcem w naszym wieku) uciekają w kierunku pobliskiego lasu. Oddali do nich kilka strzałów, ale ich nie trafili. W mieszkaniu zostali tylko samą żonę. W trakcie rewizji znaleźli u nich ukryte radio. Wściekli z miejsca ją aresztowali. Następnie wpadli do szkoły i chcieli aresztować ojca. Byli bowiem przekonani, że kierownik szkoły musiał wiedzieć o istnieniu tego radia. Było to właśnie wtedy, gdy mama zostawiła nas samych. Sąsiad Łysek opowiadał nam też, że próbował ją zatrzymać u siebie wiedząc, że u nas są już Niemcy. Niestety, w obawie o los samotnie pozostawionych dzieci nie posłuchała i wróciła do domu, gdzie ją zaraz aresztowano. Kolejnymi ofiarami było żydowskie małżeństwo wraz z czteroletnim synkiem. Ukrywali się oni w piwnicy domu państwa Siekańskich. Słyszając niemieckie wrzaski i strzały, byli pewni, że Niemcy zlokalizowali ich kryjówkę i chcieli szybko stamtąd uciec. Wówczas właśnie zostali zauważeni i od razu rozstrzelani. Sołtysowi kazali ich pochować w pobliskim lesie między Węgleszynem a Oksą i odjechali z wioski.

Wszystkie te wydarzenia wywołały wielki wstrząs i panikę we wsi, nie mówiąc już o tym, co my przeżywaliśmy pozostawieni sami w całym budynku szkolnym z małym Jurkiem. Znajomi radzili, abyśmy gdzieś uciekali, bo granatowi policjanci powiedzieli, że do wsi przyjedzie szef gestapo z Jędrzejowa – postrach całej okolicy. O tym, że Jurek jest Żydem, nadal nikt nie wiedział. Straszono też nas, że możemy zostać rozstrzelani, gdyż nie uwierzą w to, że nasi rodzice nic nie wiedzieli o radiu i przechowywaniu Żydów. My wspólnie z Jurkiem albo się modliliśmy, albo płakaliśmy, oczekując na dalszy bieg wydarzeń. Nikt z mieszkańców wioski nie odważył się przyjść do naszego domu. Gdy nadzedeł już zmierzch, na podwórze szkolne zajechał czarny samochód osobowy. Wsiadło z niego trzech żandarmów i jeden granatowy policjant. Wszyscy weszli do domu. Policjant, który służył jednocześnie za tłumacza, zapytał nas, gdzie jest ojciec. Odpowiedzieliśmy, że mamę i tatę zabrali Niemcy. Oni dobrze wiedzieli, że zabrali tylko mamę, bo ojciec im się wymknął. Weszli do pokoju i zobaczyli pod ojca biurkiem zapłakanego Jurka, który chyba ze strachu i nerwów powiedział do gestapowca „ja pana zascele”. Ten zażądał przetłumaczenia tych słów. Nie wiemy czy przetłumaczył mu dosłownie, bo gestapowiec się roześmiał. W mieszkaniu przetrząsnęli każdy kąt, każdą szafkę i szufladę. Wyszli zabierając wszystkie kosztowności i najcenniejsze przedmioty. My przez dłuższy czas nie mogliśmy uwierzyć, że to już po wszystkim. Dotarło to do nas dopiero wtedy, kiedy ucichł warkot samochodu. Wówczas zjawił się sąsiad z córką, patrząc na nas, jak na zjawy. Po prostu wszyscy we wsi byli pewni, że Niemcy nas nie oszczędzą. Gdy już trochę ochłonęliśmy i uspokoiliśmy się, Jurek przypomniał nam, że przecież od wczoraj jeszcze nic nie jedliśmy. Córka pana Łyska przyniosła nam w torbie kawał chleba, butelkę mleka i masło. Z wielkim apetytem rzuciliśmy się na jedzenie. Przemęczenie i niewyspanie dało znać o sobie. Zaraz po ich wyjściu zasnęliśmy twardym snem. Na drugi dzień słońce było już wysoko na niebie, gdy obudziło nas pukanie do okna. Przyszedł do nas starszy o parę lat kolega (syn pana Jaskólskiego) Leszek. Jego mama przysłała nam trochę żywności, znalazła się nawet kiełbasa.

Po tych wypadkach szkoła została zamknięta, bo praktycznie nie miał w niej już kto uczyć. Do nas dotarły wiadomości, że mama z koleżanką znajdują się w więzieniu w Kielcach. Ciągłe mieliśmy jeszcze nadzieję, że może ją wypuszczą. Jednak fakt, że oprócz radia znaleziono też ukrywających się Żydów spowodował, że zostały one wywiezione do Oświęcimia. Wiadomość ta dotarła do nas w drugiej połowie czerwca 1943 roku. Było to dla nas straszne, bo wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że z tego obozu się nie wraca. W tym czasie również ojciec nie pokazywał się w domu, bo stałe groziło mu aresztowanie. W rezultacie zostaliśmy zupełnie sami. Wiodło nam się coraz gorzej. Pomału zaczęły się wyczerpywać wszystkie zapasy domowe. Z naszego inwentarza pozostała już tylko jedna koza, która i tak pewnego dnia zdechła. Ludzie coraz mniej się nami interesowali. Po prostu bali się do nas przychodzić. Mieliśmy wówczas 10 i 12 lat.

Spadły na nas wszystkie obowiązki domowe, łącznie ze zdobywaniem pożywienia. Na zmianę zajmowaliśmy się do pasienia krów lub pomocy w różnych pracach polowych. Sytuacja taka najbardziej dokuczała Jurkowi, który musiał pozostawać sam zamknięty w domu. Za tę pracę otrzymywaliśmy niewielkie ilości chleba z masłem, a czasem parę jajek. Rzadko jednak starczało to do najedzenia się do syta. Dosyć często kładliśmy się wcześniej spać, aby przespać głód mając nadzieję, że jutro się coś wymyśli.

Pewnego razu, ku wielkiej naszej radości, przyjechał do nas ojciec. Zjawił się nocą (ze względu na bezpieczeństwo i żeby Jurek go nie widział, bowiem jemu mówiliśmy, że ojca razem z mamą zabrali Niemcy), dał nam trochę żywności i pieniędzy. Wtedy też dowiedział się od nas, że wszystkie nasze

kosztowności rodzinne zabrali Niemcy. Wówczas powiedział, do dziś utkwilo nam to w pamięci: „ZOSTALIŚMY DZIECI DZIADAMI”. W czasie dłuższej rozmowy z nami starał się nas pocieszyć, dodać otuchy i nadziei. Po około dwóch godzinach pożegnał się z nami, żeby jeszcze pod osłoną nocy opuścić wieś. Oprócz ojca pomagały nam jeszcze od czasu do czasu rodziny Łysków: Józefa i Wincentego oraz ze dwa razy członkowie ruchu oporu. Sytuacja była jednak bardzo trudna. Musieliśmy pogodzić pracę u gospodarzy z pilnowaniem Jurka, praniem i szykowaniem jedzenia. Najgorsze było to, że coraz częściej zaczęły nam dokuczać różne dolegliwości żołądkowe. W takich sytuacjach chodziliśmy cztery kilometry do apteki do Oksy, skąd otrzymywaliśmy różne potrzebne lekarstwa i to nas ratowało.

Pomimo sprawowania ciągłej opieki nad malcem, bywały jednak chwile, kiedy Jurek bawił się sam ze swoimi rówieśnikami. Trudno było mu nieraz zabronić, bo przecież nie mógł bez przerwy przebywać sam lub wyłącznie w naszym towarzystwie.

Minęło lato i na początku jesieni wydarzyło się to, czego najbardziej obawialiśmy się my i nasz ojciec. W końcu rozpoznano, że Jurek jest Żydem. Wiadomość ta dotarła do nas od zaufanego człowieka. Został o tym również przez kogoś powiadomiony ojciec. Przyjechał w nocy bardzo zdenerwowany i powiedział, że w sprawie Jurka, w najbliższym czasie podejmie jakąś decyzję. Nakazał nam go nadal pilnować i nie zostawiać samego. Zaczęliśmy unikać spotkań z ludźmi i zabaw z kolegami. Przyszedł do nas również w tej sprawie pan Józef Łysek z ostrzeżeniem, że coraz więcej ludzi dyskutuje na temat Jurka. Przekonywał, że trzeba poczynić jakieś kroki aby nie spowodzić nieszczęścia na nas i innych ludzi. Zaproponował też swoją pomoc. Tak on, jak i ojciec byli powiązani z Armią Krajową i bardzo szybko się ze sobą skontaktowali. Obaj przyjechali w nocy furmanką po Jurka. Spakowaliśmy wszystkie jego rzeczy, a następnie obudziliśmy go i ubraliśmy. Kryliśmy przed nim płacz i łzy. Tłumaczyliśmy mu, że jedzie do drugiej swojej cioci. Otulonego w koc posadziliśmy go na furmance. Nie poinformowano nas dokąd go zawiozą. Ojciec powiedział tylko, że oddany zostanie pod dobrą opiekę i w pewne ręce. Po jakimś czasie ojciec zdradził nam tajemnicę, że Jurek jest u naszej cioci, a jego siostry, we wsi Przyłęk.

Pozostaliśmy sami. Przez kilka dni popłakiwaliśmy po kątach, nie okazując tego znajomym i kolegom. Wszystkim im natomiast powiedzieliśmy, że w związku z naszą trudną sytuacją Jurka zabrała rodzina jego ojca. Okazało się, że wyjazd Jurka był już konieczny. Niemcy bowiem mianowali nowym kierownikiem szkoły Schabowskiego, któremu wraz z rodziną przydzielono nasze mieszkanie. Dano nam tylko trzy dni na wyprowadzenie się z domu. Zostaliśmy bez dachu nad głową.

Przyjął nas do swego, stosunkowo ciasnego mieszkania, pan Józef Łysek. Zabraliśmy tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Meble i dużo innych przedmiotów musiało pozostać w byłym mieszkaniu, bo nie było ich gdzie ulokować. Na domiar złego otrzymaliśmy zawiadomienie, że stryjek Kazik zmarł w Oświęcimiu na tyfus. Wiadomo, jak odebraliśmy tę wiadomość, tym bardziej że znajdowała się tam nasza mama.

Rozpoczęliśmy nowe życie w stosunkowo dużym gospodarstwie p. Łyska, który mieszkał wraz z żoną i córką (około 17 lat). Od samego początku zaczęto nas traktować jak domowników. My natomiast, jak wszyscy chłopcy ze wsi, wstawaliśmy bardzo wcześnie rano i wykonywaliśmy wszystkie prace polowe oraz pomagaliśmy przy obrzędku w gospodarstwie. Najczęstszym naszym zajęciem było pasienie krów.

Mimo że nauka w szkole została wznowiona, my do szkoły niestety nie chodziliśmy. Przy pomocy ojca i gospodarzy robiliśmy raz na dwa tygodnie paczki i wysyłaliśmy je mamie do Oświęcimia. Najczęściej musieliśmy nosić te paczki pieszo na pocztę, która znajdowała się około 4. kilometrów od Oksy.

Od czasu do czasu docierały na adres Łyska listy od mamy. Ze względu na bezpieczeństwo nie wspominała w nich nigdy o ojcu. Pytała o zdrowie dzieci i prosiła, byśmy się nie martwili, gdyż nadejdzie kiedyś chwila, kiedy się znów zobaczymy i już na zawsze będziemy razem. Prosiła również, żeby w paczkach przysyłać cebulę i czosnek. Z ojcem spotykaliśmy się teraz częściej, a nawet razem z rodziną Łysków spędziliśmy święta Bożego Narodzenia.

Nastał rok 1944. Niemcom coraz gorzej wiodło się na wszystkich frontach. Wstąpiła w nas nadzieja, że wojna się skończy i mama wróci. Tak się jednak nie stało. Pod koniec marca otrzymaliśmy straszną wiadomość, że mama zmarła na tyfus. (Wszystkie zawiadomienia o śmierci, jakie były wysyłane z Oświęcimia, brzmiały: „zmarł(a) na tyfus”). Ojciec i my przeżyliśmy to strasznie. Płakali nasi gospodarze i wielu ludzi ze wsi, bo była przez wszystkich bardzo lubiana. Długo nie mogliśmy po tym przyjść do siebie.

W drugiej połowie 1944 roku Niemcy zaczęli w oddalonej o ok. 30 kilometrów miejscowości Brzegi budować umocnienia obronne rowy przeciwczołgowe i okopy. Do tych robót co pewien czas wyznaczali z każdego domu jedną osobę. Z naszego domu wyznaczili 17-letnią córkę gospodarza. Jej rodzice byli tą sytuacją przerażeni. W momencie, gdy przyjechali po nią (Janusz był wtedy przy kopaniu torfu) widząc ich zdenerwowanie zaproponowałem, że pojedę zamiast Hani. Gospodarz znając język niemiecki przekonał Niemca, że 12-letni chłopiec umiejący pracować przy koniach może być bardziej przydatny niż dziewczyna. Niemiec wyraził zgodę i wyjechałem do pracy. Robota była tam bardzo ciężka,

a wyżywienie słabe: chleb z marmoladą i czarna kawa, a na obiad najczęściej zupa z brukwi. Pracowałem przez około dwa miesiące.

Pod koniec 1944 roku partyzanci coraz częściej przeprowadzali akcje dywersyjne, dochodziło również do jawnych potyczek. Dlatego też Niemcy rzadziej pokazywali się we wsi i to tylko w dzień. Wiadomo było, że na Wschodzie wypiera ich Armia Czerwona. Święta Bożego Narodzenia obchodziliśmy już pod wrażeniem zbliżającego się frontu. Słychać było coraz częściej warkot samolotów i dalekie wybuchy bomb. Szosami ciągnęły kolumny samochodów i wozów niemieckich. Wszyscy oczekiwali, że Rosjanie lada moment wkroczą bez większych walk i ludzie nie ucierpią. Tak też się stało. W pierwszych dniach stycznia wczesnym rankiem przez naszą wieś Niemcy uciekali w popłochu, a już wieczorem wjechały czołgi rosyjskie. Rosjanie rozlokowali się w całej wsi. Wszędzie było ich pełno. Zajęli mieszkania a nawet budynki inwentarskie. Byli bardzo nędznie ubrani, wygłodzeni i przemęczeni. Spali pokotem na podłodze wyścielonej słomą.

Ciągle nowe kolumny zmotoryzowane i piesze ciągnęły na Zachód. Zima zbliżała się ku końcowi. Wszyscy bardzo cieszyli się wolnością, liczyli na powrót swoich bliskich. My mieliśmy mieszane uczucia, bo nadal nie wiedzieliśmy, jaka nas czeka przyszłość.

Była już pełnia wiosny 1945 roku, kiedy to do wsi przyjechała matka Jurka pani Kaiser. Pierwsze swoje kroki skierowała do szkoły, gdzie poprzednio mieszkaliśmy. Tam dowiedziała się, że my teraz przebywamy w domu Józefa Łyska, że mama nasza zginęła w Oświęcimiu, a ojciec nie jest już kierownikiem tutejszej szkoły. Nie uzyskała też żadnych informacji o swoim dziecku. Była załamana i pełna najgorszych myśli. Zrozpaczona szybko udała się pod wskazany adres naszego nowego miejsca pobytu. W tym czasie nie było nas w domu. Po powrocie zastaliśmy ją już gorączkowo wypyującą pana Łyska o różne szczegóły minionego okresu. Po serdecznym przywitaniu zorientowaliśmy się, że poznała już w ogólnym zarysie nasze i Jurka dramatyczne przeżycia. Dla niej najważniejszy był fakt, że Jurek żyje, jest zdrowy i znajduje się w bezpiecznym miejscu (u naszej ciotki w Przyłęku). Współczuła nam bardzo z powodu śmierci mamy. Dowiedzieliśmy się również o jej nieszczęściu. Straciła męża, który w obozie został rozstrzelany przez Niemców. Była więc niewymownie szczęśliwa, że chociaż jej jedyny syn przeżył ten wojenny koszmar. Po skromnym poczęstunku pożegnała się z nami, bo chciała jak najszybciej znaleźć się w Przyłęku i zobaczyć się z nim. My jeszcze przez pewien czas mieszkaliśmy u państwa Łysków.

Od nowego roku szkolnego, to jest od września 1945 roku, ojciec powrócił na stanowisko kierownika szkoły w Węgleszynie. W końcu zaczęliśmy już systematycznie uczęszczać na zajęcia szkolne. Niestety, nie dane nam było żyć w spokoju. Przed organizowanym w Polsce referendum dotyczącym przyszłego ustroju państwa polskiego, ojciec został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa.

Jest to już jednak inny rozdział naszego życia.

W dniu 2 II 1988 roku otrzymaliśmy medal „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”.